

Dulag 142 Skierniewice w relacji Krystyny Mystkowskiej

Do druku przygotował, wstępem i przypisami opatrzył Piotr Stanek

Po upadku Powstania Warszawskiego żołnierze Armii Krajowej (dalej: AK) trafili do niemieckiej niewoli. Pierwszym jej etapem były obozy przejściowe – dulagi (*Durchgangslager*). Oprócz najbardziej znanych, znajdujących się m.in. w Ożarowie czy Pruszkowie, funkcjonowały również w Skierniewicach. W tym czasie były co najmniej dwa. Pierwszym był dulag „Cegielnia” przy ul. Mszczonowskiej – stanowił punkt rozdzielczy dla cywilnych transportów wyładowywanych w tym mieście (znajdowały się w nim 4 baraki mogące pomieścić ok. 3,5 tys. osób każdy i barak noclegowy). Po wstępnej rejestracji dokonywano w nim przydziału do gminnych delegatur Rady Głównej Opiekuńczej (dalej: RGO). Drugim – był Dulag 142 dla jeńców wojennych – żołnierzy AK, będących w drodze do Stalagu X B Sandbostel i w znacznie mniejszym stopniu do stalagów IV B Mühlberg i XI A Altengrabow. Wcześniej pełnił funkcję obozu przejściowego dla jeńców radzieckich, dlatego miał bardzo prymitywną infrastrukturę. Tworzyły go ziemianki przeznaczone dla ok. 100 osób każda, które wyposażone były w drewniane prycze, wyściełane cienką warstwą słomy. Przez Dulag 142 przeszło co najmniej 3 tys. osób, w tym ponad 400 chorych. Około 200-osobową grupę ciężiej rannych władze Wehrmachtu przekazały do miejscowego szpitala powiatowego. Lokalna placówka RGO dostarczała wyżywienie i środki opatrunkowe oraz zapewniała personel medyczny.

Zamieszczona poniżej relacja pochodzi od Krystyny Mystkowskiej z d. Nie-lubowicz (1914–1962), która pracowała jako tłumaczka w Dulagu 142. Była także organizatorką pomocy dla jeńców radzieckich. Gdy do obozu zaczęli trafiać żołnierze AK – powstańcy warszawscy oraz grupa partyzantów wziętych do niewoli po bitwie pod Jaktorowem w Kampinosie, starała się o za-



11. Krystyna Mystkowska

pewnienie dla nich elementarnej opieki medycznej, angażując mieszkańców Skierniewic. Słynny powstańczy kapelan – ks. Józef Warszawski, określił ją jako „dobrodziejkę nas, jeńców-podróżnych”^{*}. Pomagała w ucieczkach z obozów. Była bardzo głęboko zaangażowana w działalność RGO, została również zaprzysiężona jako pielęgniarka Polskiego Czerwonego Krzyża w AK i brała udział w tajnym nauczaniu. Kierowała też akcją wysyłania paczek żywnościowych dla jeńców wojennych z kampanii wrześniowej, po tym jak jej mąż – por. Andrzej Mystkowski, po bitwie pod Kockiem dostał się do niewoli i przebywał m.in. w oflagach II B Arnswalde (Choszczno) i II D Gross Born (Borne

Sulinowo). Zachowała się z tego okresu kompletna korespondencja jeniecka, będąca w posiadaniu syna – Jana Mystkowskiego, która znajduje się obecnie w depozycie Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu. Z niej pochodzi relacja jego matki (spisana w 1960 r.). Nie dysponujemy wieloma źródłami czy opracowaniami, odnoszącymi się do historii Dulagu 142 Skierniewice czy pobytu powstańców warszawskich w tym mieście^{**}, co dodatkowo uzasadnia publikację tej relacji, zawierającej szereg istotnych informacji. Jest ona tym cenniejsza, że została napisana nie z perspektywy powstańczej, jenieckiej, lecz osoby pomagającej internowanym żołnierzom.

* * *

Na wiosnę 1944 r.¹ w Skierniewicach na polach w pobliżu tartaku² założyli Niemcy obóz dla jeńców radzieckich. Pomyślany on był jako obóz przejściowy – *Durchgangslager* – w skrócie Dulag, oznaczony numerem 142. Nie bacząc na zasiewy wybudowano prymitywne długie ziemianki bez okien dla jeńców, baraki dla wartowników i komendy, murowaną kuchnię i inne niezbędne budynki, wszystko za gęstą zasłoną drutów kolczastych. W trakcie budowy zaczęły nadchodzić transporty jeńców, których użyto jako siły robo-

* Ks. J. Warszawski, *Myśl jest bronią: rozważania*, Warszawa 1989, s. 9.

** Zob. np. K. Zwierzchowski, *Skierniewice w czasie II wojny światowej: historia ruchu oporu we wspomnieniach i dokumentach*, Skierniewice 1999, s. 339–358; *Wielka ilustrowana encyklopedia Powstania Warszawskiego*, red. nauk. P. Rozwadowski, t. 2: *Polityka, kultura, społeczeństwo*, Warszawa 2006, s. 178–179.

¹ Jak wynika z listów Krystyny Mystkowskiej (z 6 V, 8 V i 23 V 1944 r.) do przebywającego w Oflagu II D Gross Born męża Andrzeja, obóz zaczął powstawać między 6 a 8 V 1944 r.

² Między ulicami Bielańską a Skłodowską (dawniej Bolimowska), w pobliżu torów kolejowych (przy drodze prowadzącej do lasu).

czej. Budową kierował architekt Bodo Rasch, w cywilu projektant wytwornych wnętrz. Przychodził on często do tartaku z grupą jeńców po materiały drewnne i nie bronił nigdy podania wynędzniałej gromadzie chleba czy papierosów. W obozie przebywało wówczas od 600 do 1000 ludzi.

Pewnego dnia architekt przyniósł do tartaku kilka zabawek, pięknie wykonanych rękami jeńców. Wówczas zwróciliśmy się do niego z propozycją, że jeńcy mogliby swe wyroby wymieniać na żywność. Tartak dostarczy drewna, on postarałby się o farby, a my – zamieszkali przy tartaku³ – zajęlibyśmy się wymianą towarową. Architekt propozycję przyjął, załatwił rzecz z komendantem obozu i zaczęła się wymiana. Najpierw dostawaliśmy po kilkanaście, potem po kilkadziesiąt zabawek co parę dni, a wkrótce jeździłam po nie do obozu furą i tąż furą przywoziłam uzyskaną w zamian żywność. Do tartaku schodziły się gromady dzieci, które za pęk marchwi, torebkę mąki czy kilka papierosów dostawały różne dziobiące kurki, pajace, pawie, węże i inne cuda. Większość była wykonana prymitywnie, ale niektóre zdradzały wprawna rękę i zmysł artystyczny, te oczywiście „sprzedawaliśmy” odpowiednio drożej. Wymiana rozwijała się pomyślnie i wkrótce dowiedzieliśmy się od samych jeńców, że ich sytuacja żywnościowa znacznie się poprawiła. Nie było zgónów, nie słyszało się też o okrutnym traktowaniu, jak gdzie indziej. Staraliśmy się unikać niepotrzebnego rozgłosu, ale wieść o wyrobach jeńców radzieckich obiegała szybko miasto. Wkrótce zainteresowali się tą sprawą starzy PPS-owcy i przywozili do tartaku znaczne ilości chleba, który natychmiast dostarczałam do lagru. Jeńcy w obozie zmieniali się. Co pewien czas transport ich odjeżdżał do Niemiec, a na opróżnione miejsce przybywali nowi, ale okres pobytu w Skierniewicach nie był najgorszym etapem ich męczeńskiej drogi. Wieczorami jeńcy śpiewali. Słuchaliśmy ich pięknych smutnych pieśni, które ci urodzeni chórzyci wykonywali z wielką muzykalnością.

Latem 1944 r. zaczęli przybywać do dulażu i inni ludzie. Były to grupy, liczące kilkadziesiąt osób z różnych łapanek, przeznaczone do wywozu na roboty do Niemiec. W dulażu odbywała się „selekcja”, po której ładowano ludzi do wagonów i wywożono. Do pomocy przy owej selekcji lekarz obozowy wzywał polskiego lekarza, któremu towarzyszyła grupa pielęgniarek i ja jako tłumaczka i prowadząca ewidencję. Była to dobra okazja do uratowania przed wywozem wielu ludzi. Doktor Roman Peret⁴ pouczył nas, co mamy ludziom podpowiadać. Największe „zastosowanie” miały choroby weneryczne i gruźlica, które odstraszały Niemców. Ponieważ w lagrze pleniło się wszelkie robac-

³ Krystyna Mystkowska pracowała jako księgowa w tym tartaku, który należał do jej ojca – Napoleona Nielubowicza.

⁴ Roman Peret (1903–1996), dr medycyny, internista. W latach 1934–1946 ordynator szpitala w Skierniewicach i kierownik przychodni przeciwgruźliczej Ośrodka Zdrowia. W 1939 r. lekarz 26. Dywizji Piechoty (skierniewickiej) Armii „Poznań”. Po wojnie pracował w Warszawie.

two, ludzie po przenocowaniu na zapchlonych pryczach byli cali w cętki. To dawało podstawę do orzeczenia: wysypka na tle schorzeń wenerycznych, pouczony przed tym delikwent recytował, ile razy przechodził odpowiednią kurację i – dostawał papierek zwolnienia. Oczywiście – nie wszystkich można było wyreklamować, ale przynajmniej ci, którzy wydawali się nam najwartościowsi dla kraju – zostawali.

Nadszedł sierpień, a z nim – powstanie. Ewakuowaną z Warszawy do Pruszkowa ludność cywilną zaczęli Niemcy wkrótce rozwozić transportami po kraju i za granicę. Skierniewice znalazły się na szlaku tych transportów, były ich pierwszym etapem. Na dworcu kolejowym zorganizowano natychmiast punkt pomocy dla wywożonych. Całe miasto, okoliczne wsie i dwory wzięły udział w tej akcji. Drużyny przeszkolonej w konspiracji młodzieży oczekiwały dniem i nocą na przejeżdżające transporty, niosąc im żywność i pomoc lekarską. Dwa z takich transportów, liczące około 15 tys. ludzi, „wyładowano” w Skierniewicach. Miasto przygotowało na ich przyjęcie nieczynną cegielnię, a opiekę nad wysiedleńcami przejęła RGO, kierowana przez Marię Węgrzynową⁵.

A tymczasem do dulażu przybył również transport, lecz całkiem odmienny. Wiadomość o nowej partii ludzi przybyłych do obozu docierała natychmiast do tartaku, toteż zaraz zgłosiłam się do komendanta, ofiarowując pomoc. Ten przyjął mnie bardzo oschle i oświadczył, że o żadnej pomocy z naszej strony nie może być mowy, gdyż „es sind Banditen”⁶ i on ma rozkaz nikogo do nich nie dopuszczać. Chyba – że pójde do dowódcy wojskowego okręgu skierniewickiego i uzyskam jego zgodę. Oczywiście – poszłam, ale w towarzystwie ówczesnego burmistrza Skierniewic, nieżyjącego już, świetlanej pamięci prof. Wittemberga⁷, który, jako osoba znana i ciesząca się powszechnym szacunkiem, mógłby mi ułatwić zadanie. Rzeczywiście dygnitarz wojskowy przyjął nas nader uprzejmie, ale gdy dowiedział się o celu naszej wizyty, oświadczył krótko *nein* i powtórzył znany mi już epitet *Banditen*. Sytuacja stała się trudna. Z jednej strony wiedziałam, że nic się tu już nie da wskórać, z drugiej – potrzeba pomocy ludziom tak określonym stała się tym pilniejsza. Postanowiłam zaryzykować. Poszłam znów do lagru, do komendanta i oświadczyłam mu, że dowódca okręgu zgodził się. Jak się to stało, że komendant nie podniósł wtedy słuchawki i nie sprawdził mej informacji – nie wiem do dziś i nigdy się nie dowiem, dość, że nie sprawdził i pozwolił przynieść żywność. Wieczorem ludzie ci zostali załadowani do dwóch wagonów i na bocznicę koło

⁵ Maria Węgrzynowa była kierowniczką Biura Delegatury Głównej RGO w Skierniewicach, natomiast przewodniczącym ww. delegatury – Władysław Białowiejski.

⁶ Niem. „To są bandyci”.

⁷ Właśc. Artur Wittenberg, nauczyciel gimnazjalny, wiceburmistrz Skierniewic w latach 1939–1944, a 1944–1945 burmistrz.

tartaku oczekiwali pod strażą na odjazd. Ze strażnikami doszliśmy szybko do porozumienia. Wódka i papierosy były dla nich zawsze nieodpartą pokusą. Pozwolili nam nawet przystawić drabiny do zakratowanych okienek, rozmawiać z zamkniętymi ludźmi i podać im wszystko, o co prosili. Okazało się, że było to 100 ludzi z Wołomina, aresztowanych podczas akcji odwetowej i najsurowiej traktowanych. Pomoc była im istotnie bardzo potrzebna.

Wkrótce potem znów byłam świadkiem innego dramatu. W tym czasie przechodziły transporty z Pawiaka⁸ do Auschwitz. Potwornie stłoczeni w wagonach ludzie w czasie wyjątkowych upałów dusili się i umierali stojąc. Jeden taki transport zatrzymał się nocą obok dulażu. Żandarmi zrobili przegląd wiezionych ludzi i wyciągnęli ponad 100 uduszonych lub nieprzytomnych. Ułożyli ich w jednym wagonie, oddzielonym od reszty i cały ten wagon podpalili. O świcie zaalarmowani zostaliśmy tą straszną wieścią przez kolejarzy, widzieliśmy otoczony żandarmami dymiący wagon, czuliśmy okropny swąd, a zapytani o przyczynę Niemcy z dulażu dawali wymijające odpowiedzi. Po pewnym czasie żandarmi zwlekli bosakami zetlałe resztki ludzkie ze szkieletu wagonu do wykopanego tuż przy torze dołu i zasypali je. Dopiero w rok później przybyli krewni ofiar z wiadomościami zebranymi od towarzyszy niedoli z transportu. Czerwony Krzyż zorganizował ekshumację i przeniesienie niedopalonych kości ofiar na cmentarz w asyście duchowieństwa i wielkich rzesz ludności. Tak się złożyło, że owa ekshumacja i składanie kości do trumien dokonane zostało rękami tych żandarmów, którzy dokonali spalenia. Znajdowali się oni od czasu wyzwolenia miasta w areszcie, a praca, do której zostali użyci, musiała być dla nich straszną karą.

Tymczasem Powstanie Warszawskie dogasało. Pewnego dnia u schyłku września Niemcy wyprowadzili z wagonu na stacji Skierniewice grupę przeszło 30 rannych. Byli to pierwsi jeńcy z powstania. Skierowano ich pieszo torami w stronę dulażu. Ranni wlekli się o własnych siłach. Jeden z nich, por. „Łokietek”⁹, był ciężko ranny w szyję. Rana krwawiła silnie całą drogę. Chory przybył do dulażu całkowicie wykrwawiony. Za zgodą komendanta natychmiast zjawiono się w obozie kilku naszych lekarzy z doktorem Peretem na czele, którzy przy pomocy pielęgniarek zajęli się energicznie rannymi. Ale porucznika „Łokietka” nic już nie zdołało uratować. Wprawdzie Niemcy pozwolili nawet przewieźć go do szpitala powiatowego. Wiozliśmy go z Celiną Kamecką po wyboistym bruku, wiedząc, że to już agonია. W szpitalu siostra zakonna mogła mu już pomóc tylko modlitwą za konających i przygotowaniem do pogrzebu. Był to pierwszy pogrzeb powstańca w Skierniewicach, a urzą-

⁸ Pawiak to potoczne określenie największego więzienia politycznego na terenie okupowanej Polski, położonego w samym centrum Warszawy.

⁹ Jan Zapęcki ps. „Łokietek” (1904–1944), ppor., zgrupowanie „Kryśka”. Zmarł z powodu odniesionych ran 26 IX 1944 r.

dziliśmy go jak mogli najuroczyściej. Na mogile stanął brzozywy krzyż, za którym – jakże prędko – ustawił się długi rząd podobnych.

W tym czasie jeńcy radzieccy opuścili dulag, pozostała tylko mała grupa rannych z lekarzem, a do obozu przybyła kilkudziesięciosobowa grupa żołnierzy berlingowców¹⁰.

Szybko dotarła do Skierniewic wieść o upadku powstania. Nadszedł dzień 1 października. Wczesnym rankiem do obozu przybył wielki transport. To powstańcy z Mokotowa w liczbie około 2000¹¹ przywiezieni zostali po kapitulacji jako jeńcy. Grupie mokotowskiej przewodniczył mjr Szternal Kazimierz, ps. „Zryw”¹². Wśród jeńców było ponad 400 rannych pod opieką lekarzy z powstania i przeszło 30 dziewcząt. Wszyscy oni wymagali natychmiastowej pomocy w żywności i lekach. Tę pomoc zorganizowała RGO przy udziale całego społeczeństwa z miasta i okolic. Niemcy pozwolili na łączność z obozem mnie i jeszcze kilku kobietom. Zaczęła się praca. Obóz nie był przygotowany na taką liczbę ludzi, w dodatku rannych. Brakło wody, nie mówiąc już o żywności.

Wodę trzeba było beczkami dowozić z okolicznych studzien. Powstańcy mieli pieniądze. Przed kapitulacją rozdano im coś w rodzaju żołdu w nowych pięknych papierkach 500-złotowych. Te 500-złotówki trzeba było najpierw rozmiąć w miejscowym banku. I tu dopiero okazało się, że owe piękne banknoty, którym na oko nic nie można było zarzucić, nie pochodzą z mennicy Generalnej Guberni¹³, ale że drukowane były całkiem gdzie indziej, a do Warszawy trafiły ze zrzutów. Lecz nasi bankowcy wzięli na siebie niebezpieczeństwo całej imprezy i wydali nam drobne w walucie nie budzącej już żadnych wątpliwości. Z zakupami też nie było łatwo w okresie kartkowym i przy wielkiej liczbie ludności napływowej, mimo to nasi ludzie przywieźli z okolicznych wsi mnóstwo żywności, którą cała drużyna dziewcząt pakowała w paczki dniem i nocą. RGO miała mąkę, przydzielała ją piekarniom, a te wydawały nam chleb dla obozu. Dostawaliśmy również cukier, tłuszcze i inne produkty, oczywiście w ilościach bardzo skromnych w stosunku do potrzeb, ale tu z pomocą przychodziła ofiarność prywatna. Zaprzyjaźniony personel rzeźni przydzielał nam – oczywiście całkiem nieoficjalnie – świeżą wątrobę dla ciężko rannych, czasem większe ilości koniny, kiedyś nawet całego prosiaka i tak jakoś gospodarowaliśmy.

¹⁰ Prawdopodobnie była to grupa mjr. Stanisława Łatyszonka z 1. Armii Wojska Polskiego (tzw. armia Berlinga), wzięta do niewoli na przyczółku czerniakowskim.

¹¹ Po kapitulacji Mokotowa, 27 IX 1944 r. do niewoli wzięto ok. 130–140 oficerów i 1300 żołnierzy, w tym ponad 400 rannych i 30 kobiet.

¹² Kazimierz Szternal ps. „Zryw” (1907–1981), mjr, „cichociemny”, zastępca dowódcy pułku „Baszta”. Po pobycie w Dulagu 142 trafił do Stalagu X B Sandbostel.

¹³ Właśc. Generalne Gubernatorstwo, terytorialno-administracyjny twór, powstały 26 X 1939 r. i obejmujący część okupowanych przez Niemcy ziem polskich, które zostały bezpośrednio włączone do III Rzeszy.

Dzień w obozie rozpoczynał się apelem żołnierskim. Niezapomniany był widok długich szeregów dość jednolicie ubranych młodych chłopców, odbywających swój apel. Oficerowie składali raport dowódcy, oddawano honory wojskowe, a postawa tych ludzi – mimo przebytych trudów, głodu i wszelkich udręk – w niczym nie przypominała tego, co rozumiemy pod słowem „jeniec”.

*Diese A.K.-Leute – es ist bloss Intelligenz!*¹⁴ – powiedział do mnie komendant obozu mjr Pongs z nieukrywanym podziwem. Ale tego podziwu nie podzielali inni Niemcy, od których wkrótce zaroilo się w barakach obozowych. Był tam *Abwehroffizier*¹⁵ z bandą gestapowców przy boku, którzy patrzyli na nas podejrzliwie, nie szczędząc szykan. W naszej pracy starałyśmy się w pierwszym rzędzie zaspokoić potrzeby rannych. Dla nich było białe pieczywo i to, co miałyśmy najlepszego.

Do obozu przywieziono również grupę partyzantów z Puszczy Kampinoskiej – po bitwie pod Żyrardowem¹⁶. Jeden z nich – doktor Roth – powiedział mi, że ma za sobą taką przeszłość, iż nie może tu dłużej pozostać, bo go Niemcy wykończą. Oświadczył, że jego specjalnością był strzał przez biurko. Dośpiewałam sobie szybko – do kogo. Udało mi się wywieźć go platformą, którą przywoziłam żywność. Przy pożegnaniu wyciągnął z kieszeni skakankę dziecięcą i powiedział: „to mój talizman, już trzeci raz ratuje mnie z opresji”. Gdy był jeszcze w lesie, odwiedziła go żona z córeczkami. Jedna z nich zapomniała zabrać swoją skakankę, a ojciec nie rozstawał się z nią od tej chwili. Innym razem pracująca z nami koleżanka [Helena?] Urbańska, znalazła wśród jeńców syna¹⁷. Gdy się już chwilę nacieszyli sobą, kilka z nas otoczyło ich ciasno, szybko ubrałyśmy chłopaka w moją pelerynę z kapturkiem, na rękaw założyłyśmy naszą opaskę i wszyscy razem – na platformę. Furman podciął konie, wartownicy wypuścili nas jakoś bez przeszkód i tak wywiozłyśmy oszołomionego chłopca. Inny szczęściarz salwował się ucieczką na własną rękę, mianowicie wlażł do pustej beczki na wodę i w ten sposób wydostał się za bramę. Ale więcej takich prób nie można było czynić, bo Niemcy zdwoili czujność.

Po kilku dniach pobytu w obozie zdrowych wywieziono do Niemiec. Odjechał wówczas i mjr „Zryw”, a przed odjazdem udało się nam z nim pożegnać. Powiedział nam krótko: – „Dziękuję, to była dobra służba”, a te proste słowa miały dla nas swoją wagę.

¹⁴ Niem. „Ci ludzie AK – to sama inteligencja!”.

¹⁵ Funkcjonariusz niemieckiego wywiadu wojskowego (*Abwehr*).

¹⁶ Bardziej znana jako bitwa pod Jaktorowem (29 IX 1944 r.), którą żołnierze AK ze wspomagającej powstanie grupy „Kampinos”, stoczyli z wojskami niemieckimi. Około 150 z nich dostało się do niewoli, ale część na miejscu rozstrzelano.

¹⁷ Prawdopodobnie mowa o Kazimierzu Urbańskim ps. „Klemens” (1925–1972), kapr. pchor., walczącym w Grupie Artyleryjskiej „Granat” na Mokotowie.

Wśród pozostałych było wielu ciężko rannych. Ponieważ przebywanie w warunkach obozowych było dla nich groźne, Niemcy zgodzili się na przewiezienie ich do szpitala. Natychmiast stawili się wszyscy doróżkarze skierniewicy, dźwigali ostrożnie razem z nami rannych i przewieźli ich bezpiecznie do szpitala. Ci ludzie okazali powstańcom wiele serca i bezinteresowności, a niejedyn raz korzystaliśmy z ich chętnych usług. Również dzielny woźnica z browaru i nasz Zaleski z tartaku, to dobrzy, wypróbowani przyjaciele. Zresztą – byli przyjaciele i wśród Niemców, gdyż nieraz w prostym wachmanie znajdowało się życzliwego, ludzkiego człowieka. Byli wśród nich Czesi i Bawarczycy – z tymi dogadaliśmy się najprędzej, oni informowali o wszystkim, co mnie interesowało, przynosili listy i pomagali w różnych kłopotach, a tych nie brakło.

Ciężko ranni zostali wcześniej przewiezieni do szpitala powiatowego. Były tam dobre warunki, bardzo dobrzy lekarze, nie brakło leków – RGO miała nawet własną aptekę – opieka była nader troskliwa, krwiodawcy zgłaszali się chętnie, dlatego też wielu chorych powracało do zdrowia i oczywiście uciekało ze szpitala na wolność. Ale tam, gdzie konieczna była operacja – działo się gorzej. Amputacje kończyły się z reguły tragicznie. Ranni umierali. Zgony były tak częste, że w jednym z pogrzebów niesiono aż 7 trumien. A tymczasem w obozie pozostawało wciąż jeszcze wielu poważnie chorych i odbywały się tam zabiegi chirurgiczne, a nawet amputacje. W tych tak prymitywnych warunkach chorzy powoli powracali jednak do zdrowia. Zawdzięczali to ofiarnej pracy i trosce swoich lekarzy z powstania, a operował ich chirurg radziecki, prof. uniwersytetu moskiewskiego Leonid Kubasow¹⁸. Początkowo wieść o dokonywanych przez niego zabiegach w warunkach obozowych bardzo nas zaniepokoiła. Operacje odbywały się w izolowanym baraku, do którego nie miałam wstępu, a jednak musiał tam dotrzeć ktoś kompetentny i zbadać, jak sprawa wygląda. Udało mi się uzyskać zgodę komendanta na wizytę w baraku Kubasowa naszego lekarza z miasta. Wynik tej wizyty był zaskakujący: „Aseptyka na najwyższym poziomie, wszystko w największym porządku, nie można tu mieć żadnych zastrzeżeń” – takie zdanie wypowiedział wizytujący oddział chirurgiczny dr Klemczyński. Profesor Kubasow miał przy sobie swego asystenta, a wiedzą i uzdolnieniami służył swoim i naszym. Widać i Niemcy liczyli się z tym człowiekiem, bo pozwalali mu – oczywiście pod eskortą – odwiedzać rannych w szpitalu, gdzie jego diagnoza była bardzo ceniona. Zasłużył się on dobrze naszej sprawie, toteż, gdy zapragnął uciec z obozu, znaleźli się ludzie, którzy mu to ułatwili. Stało się to właśnie przy okazji wizyty w szpitalu, w dzień wigilii. Eskortujący profesora wartownicy stali pod drzwiami sali, do której wszedł, paląc spokojnie ofiarowane im papierosy

¹⁸ W relacji Apolinarego Cynk-Boruckiego to prof. Kołbasow (Archiwum Historii Mówionej Muzeum Powstania Warszawskiego, dostępne na www.1944.pl).

i gawędząc z uprzejmym personelem, a tymczasem profesor z asystentem wyszli oknem na ulicę, gdzie czekała już przygotowana dorożka i ubranie. Kiedy po długim oczekiwaniu zniecierpliwieni wartownicy zaczęli ich wzywać do powrotu, byli już w pociągu wiozącym ich w stronę Krakowa. Z drogi już profesor przysłał mi kartkę z prośbą o pieniądze, które udało mi się mu przesłać.

Większość rannych i nasi lekarze zostali wywiezieni do Niemiec w dwóch transportach: w październiku i w listopadzie¹⁹. Praca wśród nich, wspólnie dole i niedole sprawiły, że rozstawaliśmy się jak przyjaciele. Nazywałam tych naszych chłopców – akaczęta: nazwa przyjęła się i tak już zostali na zawsze w mej pamięci. Spotkał mnie nawet z ich strony zaszczyt nie byle jaki, bo zostałam udekorowana smoczkiem, tak, prawdziwym smoczkiem. Było to odznaczenie dziewcząt z Mokotowa, a pochodziło stąd, że w jakiejś rozbitej aptece znaleziono zapas smoczków i z braku innych „orderów” dekorowano nimi dziewczęta.

W grudniu i styczniu aż do dnia wyzwolenia pozostała w dulażu już tylko ponad 50 osób licząca grupa jeńców. Spędzili oni tam święta Bożego Narodzenia, a choć ucieczka Kubasowa pogorszyła bardzo stosunek Niemców do jeńców i do mnie, to jednak mimo wszelkich szykan znalazła się w obozie pięknie ubrana choinka i dobre paczki świąteczne ze struclami, i opłatki, którymi wraz z Marią Węgrzynową podzieliłyśmy się z jeńcami. A potem wypadki potoczyły się szybko. Nadszedł dzień 16 stycznia 1945 r. Przez całą noc poprzedzającą słyszeliśmy, jak kwaterujący tuż za naszym domem żołnierze niemieccy pakowali manatki i przed świtem odjechali, zabrawszy nam wóz, choć mieli własne samochody. W podnieceniu oczekiwaliśmy ranka. Pobiegłam do obozu i to, co zobaczyłam, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Przy bramie nie było wachy²⁰, natomiast wszyscy Niemcy kręcili się po obozie jak nieprzytomni. Wyprowadzili i ustawili pod bramą wszystkich chodzących jeńców, których wkrótce poprowadzili pod konwojem w stronę miasta. Zdążyłam tylko rozdać przyniesione papierosy i pożegnać się z moimi podopiecznymi, zresztą – nie na długo. A tymczasem w obozie sam komendant mjr Pongs i jego zastępca kpt. Lehman gorączkowo zbierali się do ucieczki, pakując manatki do oczekującego ich auta. Dla lekarza niemieckiego – dra Königa²¹, bardzo niesympatycznej osobistości, nie było już widać miejsca w tym aucie, bo – jak stał – bez żadnego bagażu pomaszerował przez puste zaśnieżone pola w stronę lasu. Patrzyłam na uciekających oficerów niemieckich. Nie po-

¹⁹ Ostatni transport odszedł 9 XI 1944 r. Zob. list K. Mystkowskiej do A. Mystkowskiego z 9 XI 1944 r. (w depozycie Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu).

²⁰ Potoczne określenie niemieckich strażników (niem. *die Wache* – straż).

²¹ Adolf König, niemiecki lekarz naczelny (*Stabsarzt*) Dulagu 121 Pruszków (do listopada 1944 r.) oraz skierniewickiego Dulagu 142.

wiedzieliśmy sobie nic na pożegnanie, ale sytuacja była zaiste niezwykła. *C'est la vie, c'est la guerre*²² – powiedział mi kiedyś jeden z nich. Wkrótce obóz opustoszał z Niemców, ale w barakach było jeszcze ponad 30 ludzi obłożnie chorych lub poruszających się tylko z trudem. Ci nie mieli gdzie ani po co uciekać. Tymczasem zaczęło się ostrzeliwanie terenu ze zbliżających się czołgów radzieckich. Pociski padały gęsto, a do tego ukazały się samoloty radzieckie, które, przelatując nisko nad obozem, ostrzeliwały go z karabinów maszynowych, choć to nie miało już żadnego sensu. Wszystkie szyby wyleciały, a na dworze był duży mróz. W tej sytuacji nie można było zostawić ludzi. Obok obozu przeszedł śpiesznie mały oddział uzbrojonych po zęby Niemców, kierując się ku lasowi, a za nimi nie ukazał się już nikt. Zaproponowałam więc swoim pupilom, aby przeszli do mego domu. Moje najbiedniejsze akaczęta: młodziutkiego Janka Karsznicę i niewiele starszego Tadeusza Maja²³ wzięliśmy na nosze. Obaj mieli nogi straszliwie poparzone benzyną z butelek, którymi rzucali w niemieckie czołgi. Po tyłu miesiącach rany jeszcze wciąż były w okropnym stanie. Co silniejsi dźwigali nosze, słabsi kuśtykali obok i tak doszliśmy do celu. Tu pożywili się i odpoczęli, ale nie mogli długo pozostać. Wprawdzie przed opuszczeniem obozu prosiłam medyka, który był z rannymi, aby pozmieniał im opatrunki, ale nie uczynił tego, natomiast napchał sobie kieszenie lekami i znikł nam z oczu bez pożegnania. Chorych trzeba było odwieźć do szpitala. Udało się pozyskać do tego zaprzyjaźnionego furmana Aniołkowskiego. Gdy tylko strzelanina nieco ucichła, przyjechał dobrze wyoszczonym wielkim wozem, na którym ułożyliśmy wygodnie chorych, słabi usiedli koło nich, zdrowsi szli pieszo obok wozu i tak wolniutko posuwali się do szpitala. W naszym domu pozostało trzech już wyleczonych, choć kalekich chłopców i jeden młody żołnierz radziecki. Tego ostatniego zabrał po paru dniach jakiś samochód, a pozostała trójka mieszkała u nas do czasu nawiązania kontaktu z rodzinami. Następnego dnia odwiedziłam moich chłopców w szpitalu. Liczba ich wzrosła, gdyż przybyli koledzy, wyprowadzeni poprzedniego dnia z obozu. Niedaleko uszli, ponieważ zaraz za Skierniewicami otoczyły ich czołgi radzieckie i uwolniły od niepożądanego opieki. Wkrótce kto mógł, szedł w swoją stronę, a w szpitalu pozostało już tylko kilku. Najdłużej, bo przeszło rok, gościł Tadeusz Maj. Pamiętam, jak w te pierwsze dni po wyzwoleniu bezskutecznie szukałam dla niego tranu, koniecznego do opatrunków. Udzielił mi go dopiero pewien lekarz radziecki, wzruszony smutną dolą tego chłopca. Później, kiedy już nie mieszkałam w Skierniewicach, Tadeuszem zaopiekowali się Strakaczowie²⁴, sprowadzali dla niego

²² Franc. „Takie jest życie, taka jest wojna”.

²³ Tadeusz Maj ps. „Cichy” (1924–2000), żołnierz pułku „Baszta”.

²⁴ Rodzina Władysława Strakacza (1881–1951), właściciela skierniewickiego browaru, zaśluzonego społecznika.

trudne do zdobycia leki, odżywiali starannie i dzięki takiej opiece chłopiec wyszedł ze szpitala zdrowy, świetnie wyglądający i – nawet zakochany w młodziutkiej pielęgniarce.

Na tym kończy się opowieść o dulagu i powstańcach w Skierniewicach. Nie wiem, jak wspominają oni to miasto, gdzie tyle się nacierpieli, ale wiem, że na pewno dobrze myślą o jego mieszkańcach, którzy ofiarowali im dar serca.

Natychmiast po opustoszeniu obozu skrzętna ludność okoliczna zlikwidowała go doszczętnie, co do cegiełki, tylko wielkie doły po ziemiankach trudno było wyrównać, ale po paru latach i one znikły. Rzadko bywam w tych stronach, ale kiedy z okien wagonu na miejscu dawnego lagru widzę znów łany żytnie, jestem szczęśliwa, że tam, gdzie człowiek nosił miano jeńca, rośnie zboże dla ludzi wolnych.